

Maksym Gorki
ROSJA
tłum. Małgorzata Buchalik

Rozdział: Bohater (str. 150-152)

Na strzępie „Nowego Czasu” z 14 lipca 1915 r. przeczytałem: „Wysuwam peryskop, patrzę, widzę zielone falujące żyto i rozrzucone w nim błękitne plamy chabrow. Nieco dalej jest droga, obsadzona drzewami. W poprzek niej i dalej, przez całe pole, ciągnie się niziutki nasyp z żółtej ziemi. To właśnie okop wroga. Siedzą w nim Niemcy. Jakies dwieście kroków stąd.

Pytam:

– Da się stąd zobaczyć niemiecki hełm, nad brzegiem okopu?

Można, ale zdarza się to rzadko, bardzo rzadko, szczególnie za dnia. Nasi też nie żartują i obserwują wroga bez ustanku. Mamy takich specjalistów. I pokazują mi jednego z nich.

Mały, niepozorny żołnierz, na pozór ospały i niemrawy, siedzi nieruchomo przy strzelnicy, chroniony stalową płytą. Siedzi i uparcie wpatruje się w szczelinę. W takiej pozycji spędza całe dnie. Nikt go tu nie posadził, nikt go nie zmusza, po prostu taką ma pasję. Akurat z tej strzelnicy – i tylko z niej – widać dolinkę, którą Niemcy chodzą po wodę. Chodzą, oczywiście, przygięci do ziemi, ale jeśli któryś za wcześnie się wyprostuje, można go zauważyć. I wtedy – paf! Karabin leży w pogotowiu, wystarczą dwie sekundy, żeby wycelować i nacisnąć spust. Bez pudła.

– Jeńcy twierdzą – mówi oficer – że tę ścieżkę nazywają u nich ścieżką śmierci. W ostatnich tygodniach zginęło tam koło czterdziestu ludzi. I pomyśleć – wszystko to robota tego oto pana.

„Pan” słucha naszej rozmowy całkiem obojętnie, jakby w ogóle go nie dotyczyła. Jego puste, jakby zaspane oczy są przykute do szczeliny w płycie”.

Ten mechaniczny niszczyciel podobnych sobie przypominał mi innego „pana”, nie mniej poważnego.

W przedziale jechało sześciu ludzi, ale na stacji Wołchow wlaź, schylając się w drzwiach, jeszcze jeden – krępy, barczysty żołnierz. Położył worek na kolanach mojego sąsiada, poprawił na piersi order św. Jerzego i przyjrzał nam się, poruszając wargami.

– Sześciu – powiedział. – W porządku. Ale zróbcie mi miejsce.

Mój sąsiad, urzędnik celny, warknął ze złością:

– Jak niby zrobić tu miejsce?

– Da się. Dla bohatera da się zrobić wszystko.

Bohater odepchnął urzędnika najpierw kolanem, a potem wcisnął się na siedzenie i rozsunął nas udami...

– I dało się.

Jego pełna twarz była wygolona i lekko granatowa, podobnie jak spiczasty łeb. Rzadkie czarne brwi zdawały się wyskubane, spod nich patrzyły okrągłutkie, wytrzeszczone i jakby odmrożone rybnie oczka.

Wagonem szarpnęło, zakołysało; przysypiający podróżni pokłękli i umilkli. Żołnierz śmiało zapalił papierosa, a ja zapadłem w drzemkę i słuchałem przez sen jego rozmowy z rudzielcem, siedzącym naprzeciw mnie.

– Przeogromny interes mają wszyscy w tej wojnie – mówił wąsaty rudzielec; żołnierz odchrząknął, splunął i przytaknął:

– A tak.

– Najważniejsze, że tak się od niej ożywiło... I wszędzie droga otwarta.

– Dobrze pan gadasz!

– Choć, oczywiście, dużo ludzi ginie...

– No, człowiek może umrzeć z najróżniejszych powodów...

I po takim wstępie mocno i samotnie zabrzmiał przy wtórze kół ochryply głos żołnierza.

– Weźmy na ten przykład mnie: byłem zwykłym cywilem, jak wy, pięć lat spławiałem tratwy, a teraz, jak potraciliśmy dużo dowódców, zdam egzaminy i będę podoficerem. Właśnie jadę zdawać. Leżałem ranny, to się uczyłem. Mam surowy charakter i celne oko. Oko mam złodziejskie, takie mi

Bóg dał dobre oko, że aż sam się dziwię – za co? Panowie oficerowie, strzelcy wyborowi, przychodzili podziwiać, tak dobrze strzelam! Do pierwszego ranienia położyłem dwudziestu dziewięciu Niemców. Uczciwie mówię, nie ja liczyłem zabitych, bo zrozumiałem, że jak sam liczysz, zawsze się pomylisz. Czasem myśliwy przez całe życie tylu zajęcy nie ubije, ilu ja w rok ludzi nakosiłem. Pewnie, człowiek nie zając, nie kaczka, ale przecież rzadko można strzelać do całego tułowia, zwykle celujesz w głowę, jak się wysunie z okopu albo będzie przemykał łącznikami. A ja, widzi pan, umościłem się w okopie, przy strzelnicy, a przed okopem takie wąskie bagno, na sto kroków, a za bagnem – Niemiec. Miejsce, mówiąc wprost, mało dla nich korzystne. Kiedyś jednego dnia położyłem ośmiu.

Żołnierz roześmiał się parskliwym, kirgiskim śmiechem i głośno westchnął:

– Bardzo mnie dziwi to moje bohaterstwo!

Spojrzałem na niego. W mroku jesiennego poranka wygolona okrągła twarz bohatera lśniła jak wysmarowana sadłem – rozkoszną dumą, rybie oczka uśmiechały się szczęśliwie.

Opowiedziałem o tym żołnierzu znajomemu duchownemu, a ten powiedział:

– I co cię tak oburza? Jeżeli wierzymy w nieuchronność tego, co robimy – powinniśmy robić to jak najlepiej. I jeśli Bóg nasz dopuszcza straszną plagę wojny, to znaczy, że mamy obowiązek przyjąć to jako prawo. A skoro prawo, to – proszę wybaczyć! – Bóg nie jest bardziej okrutny niż my, i dlatego wypełnimy jego wolę z pokorą i, powtórzę, jak najlepiej...

Duchowny był mały, chudziutki, jego jasne oczy patrzyły ze smutkiem. Opuścił wzrok i cicho powtórzył:

– Bóg nie jest okrutniejszy niż my...